Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 156 (Rok X, Nr 13) 1 lipca 1950 Cena (Price) 1/6

PO POCAŁUNKU JUDASZA

KIEDY przed dwoma miesiącami ogłoszono o układzie podpisanym w Warszawie między episkopatem polskim a reżimem, było jasne, że jest to ze strony komunistów chwilowa „pieredyszka". Kościół w Polsce, za cenę kompromitacji politycznej w oczach społeczeństwa, zdobywał na pewien czas utrzymanie instytucji kościelnych a przede wszystkim szkolnictwa katolickiego, nauki religii i zgromadzeń zakonnych, nie ustępując w niczym w sprawach wiary. Wartość układu zależała od tego, jak długa będzie ta przerwa w walce otwartej i czy pozwoli ona Kościołowi stawić czoło następnej, niewątpliwie silniejszej, fali prześladowań w lepszych czy gorszych warunkach. Już pierwsze tygodnie po układzie wykazały, że jest to tylko przejście z „gorącej" wojny z religią na „zimną wojnę", że bolszewicy traktują układ warszawski jako etap w rozkruszaniu Kościoła. Wskazywaliśmy na tych łamach na akcję radia warszawskiego, na utrzymanie pism rozłamowych dla księży, na procesy duchownych, na ataki „Trybuny Ludu" przeciw dwóm biskupom. Jak się okazuje, były to wszystko przygrywki do nowej kampanii propagandowej.

Tym razem główne natarcie przyszło, rzecz warta zastanowienia, wprost z Moskwy. Wygląda jakby komuniści w Polsce nie dość byli pełni zapału do walki z Kościołem i stojącą za nim olbrzymią większością społeczeństwa. Kreml musiał publicznie wziąć inicjatywę kampanii, zapewne by dodać ostrogi ociągającym się, wobec powagi katolicyzmu w Polsce, krajowym bolszewikom. Niemal równocześnie odezwały się trzy czołowe organy propagandy sowieckiej: „Prawda", Izwiestia" i „Nowoje Wremia". Wszystkie oskarżyły episkopat polski, że przeciwdziała akcji zbierania podpisów pod apel sztokholmski „obrońców pokoju", że łamie umowę warszawską i okazuje się jawnie narzędziem polityki imperialistycznych napastników, w przeciwieństwie do „dobrego" niższego duchowieństwa.

Dopiero po tej pobudce rozległ się chór prasy prowincjonalnej, tj. prasy komunistycznej wydawanej w języku polskim w kraju, powtarzając z małymi odmianami te same motywy, w coraz większym natężeniu. Oskarżenie biskupów o zerwanie układu i przeciwstawienie episkopatowi „patriotycznego duchowieństwa" trudno tłumaczyć inaczej niż zamiarem zerwania układu przez komunistów i ponowieniem prób stworzenia jakiegoś zalążka polskiej „żywej cerkwi".

W takim obrocie spraw nie ma nic niespodziewanego. Niespodziewane jest tylko, że nowa faza nastąpiła tak szybko. Nawet jak na zmiany polityki komunistycznej okres dwu miesięcy jest bardzo krótki. Albo zatem zawarcie układu było zwykłym prowokacyjnym manewrem, do którego nie przywiązywano większej wagi, albo też coś nie wyszło. Może bolszewicy polscy działali tu bez dostatecznego mandatu Kremla, za czym przemawiałaby dymisja Piwowarczyka (Wolskiego) ze stanowiska ministerialnego zaraz po podpisaniu układu, albo spodziewano się po tym układzie na Kremlu innych skutków natychmiastowych, czy to w Polsce czy w Watykanie.

Może zresztą gwałtowność zmian jest częścią planu. Bolszewicy stosują metodę kruszenia osobowości nie tylko w stosunku do więźniów pojedynczych ale i do więzionych narodów. Naukowa ta metoda, oparta na teorii refleksów warunkowych Pawłowa, polega na stosowaniu swoistej „huśtawki psychologicznej", na ustawicznym nagłym zmienianiu atmosfery i tematu śledztwa czy prześladowania. Te zmiany i stopniowe wymuszanie najrozmaitszymi środkami ustępstw psychicznych, sprowadzanie delikwenta ze świata prostych prawd w świat względności i zjaw, zmuszanie go do przyjmowania stanowiska, jakie się w niego wmawia, dadzą się zastosować zarówno do jednostki jak i do zbiorowości ludzkiej. Podpisanie pierwszego układu może być tym samym co podpisanie pierwszego zeznania. Przychodzi druga fala terroru i żądanie następnego zeznania, dalej idącego. Terror policyjny sowiecki unika zabijania więźnia przez torturę fizyczną. Celem jego jest zabicie opornego ducha bez dobijania ciała. Zabicie ciała nie wydaje się tym materialistom żadnym triumfem. Pożądają oni triumfu nad duchem, a torturę fizyczną traktują tylko jako sposób osłabienia ducha.

Dlatego prześladowanie Kościoła polegające na masowej rzezi księży i opornych świeckich nie wydaje się prawdopodobne. Mord będzie akcesorium pospolitym ale dodatkowym. Główny wysiłek pójdzie na duchowe kruszenie. W tym planie mają swoje miejsce przekupni literaci i zastraszeni kapelani i oportunistyczni „świeccy katolicy" polityczni i ustępstwa wymuszone na biskupach w sprawie kolektywizacji, opozycji czy uznania „państwa ludowego". Każde postawienie się w fałszywej sytuacji będzie nielitościwie wyzyskane. Każde danie najbłahszego nawet pozoru, że się krytycznie odnosi do własnej przeszłości będzie rozbudowane w następny stopień na szafot, u którego szczytu samemu sobie trzeba założyć pętlę na szyję.

Taki jest schemat prześladowania sowieckiego. Nie znaczy, że musi ono

zawsze się udać, że nie ma od niego ratunku lub sposobów skutecznego oporu przeciw niemu. Obrona jest jednak niezmiernie trudna, wymagająca niemniej charakteru niż mieli męczennicy pierwszych wieków, a o wiele więcej wysiłku intelektualnego. Piewszym warunkiem tej obrony jest zdawanie sobie sprawy z celów prześladowcy i jego metod.

Nie wiemy jeszcze czy atak propagandowy na biskupów jest obstrzałem pola czy wstępem do wielkiego natarcia, albo, trzymając się porównania ze śledztwem sowieckim, czy to wymyślanie przez „sledowatiela" ma na celu zbadanie nastroju więźnia czy też jest wstępem do nowych tortur. Jedna rzecz z układu kwietniowego pozostanie w każdym razie: nikt w Polsce nie może powiedzieć ani pomyśleć pod adresem episkopatu: „gdybyście poszli na ugodę z reżimem a nie bawili się w niezłomność, nie narazilibyście nas na to wszystko" ani też „nasi oficjalni przewodnicy nie potrafili dogadać się z komunistami, my tego spróbujemy".

Dziennik katolicki francuski „La Croix", pisząc o umowie warszawskiej, zauważył, że biskupi złożyli największą ofiarę, bo ofiarę ze swej ambicji bez szansy uratowania siebie; przez układ niewątpliwie poniżyli się, ale Chrystus dając się pocałować Judaszowi poniżył się w ten sam sposób a nawet dał pozór braku orientacji.

W OBRONIE GRANIC ZACHODNICH

Przedstawicielstwo Rady Politycznej w Stanach Zjednoczonych rozpoczęło wydawanie własnego biuletynu prasowego, przeznaczonego dla pism i organizacji Polonii amerykańskiej. Pierwszy numer biuletynu, który nosi datę 15 czerwca br., składa się z czterech części: część pierwsza jest poświęcona aktualnym zagadnieniom politycznym, skomentowanym z polskiego punktu widzenia, w części drugiej podane są informacje z działalności Rady Politycznej, w trzeciej są omówione wystąpienia polityczne Polonii amerykańskiej, wreszcie część czwarta informuje o akcjach, podejmowanych przez Przedstawicielstwo Rady Politycznej w Ameryce i poszczególnych jej członków.

Głównym dokumentem opublikowanym w pierwszym numerze jest tekst polski oświadczenia wydanego dla prasy amerykańskiej przez Przedstawicielstwo Rady Politycznej, w związku z umową zawartą między komunistycznym reżimem warszawskim i sowieckim rządem wschodnich Niemiec w sprawie granicy na Odrze i Nisie. Oświadczenie to, podpisane imieniem Przedstawicielstwa przez przewodniczącego p. S. Korbońskiego i sekretarza p. A. Niebieszczańskiego, zawiera odpowiedź na opinię czynników amerykańskich na tle wyżej wspomnianej umowy.

Deklaracja Przedstawicielstwa Rady Politycznej stwierdza m. in.: „Naród polski, który jest zmuszony żyć obecnie pod znienawidzoną okupacją sowiecką i komunistyczną dyktaturą, jest w pełni świadom motywów, jakie skłoniły Związek Sowiecki do wywarcia nacisku, by ta umowa była zawarta. Z drugiej strony Polacy słusznie uważają swe zachodnie prowincje jako własne i na trwałe odzyskane ziemie. Naród polski oczekuje w tej sprawie przychylnego stanowiska demokracji zachodnich. Oczekiwanie to jest oparte na deklaracjach rządów amerykańskiego i brytyjskiego, a także na postanowieniach układu poczdamskiego z sierpnia 1945 r.".

Dokument Przedstawicielstwa Rady Politycznej cytuje następnie wyraźne oświadczenie złożone w parlamencie brytyjskim przez ówczesnego premiera p. Churchilla z 15 grudnia 1944 r., dwa dni później złożoną w tym samym duchu deklarację przez ówczesnego sekretarza stanu Edwarda Stettiniusa, i wreszcie odpowiedni rozdział układu poczdamskiego, dotyczący przesiedlenia ludności niemieckiej („Trzy rządy, rozważywszy tę kwestię z wszystkich punktów widzenia, uważają, że przesiedlenie do Niemiec ludności niemieckiej bądź jej elementów, znajdujących się w Polsce, Czechosłowacji i Węgrzech, musi być dokonane"). W specjalnej umowie, zawartej przez Sojuszniczą Radę Kontrolną w Berlinie z 20 listopada 1945 r. zostały ujęte szczegółowe postanowienia wykonawcze do tych decyzji układu poczdamskiego, a imieniem rządu brytyjskiego minister Noel Baker potwierdził je w Izbie Gmin 19 czerwca 1946 r. i stwierdził, że przesiedlenie Niemców z Polski obejmuje „wszystkie terytoria administrowane przez Polskę".

Zwróciwszy uwagę na fakt dokonanego już zasiedlenia Polaków na tych ziemiach, na wysiłek ich i pracę w odbudowie gospodarczej tych ziem, przedstawiciele Rady Politycznej stwierdzają w zakończeniu: „wyrażamy głęboką nadzieję, że Stany Zjednoczone nie będą partnerem nowej Jałty, która by rozczłonkowała Polskę od strony zachodniej, w ślad za pierwotnym układem jałtańskim, który pozbawił Polskę prawie połowy jej terytorium państwowego na rzecz Związku Sowieckiego".

ANTYPROPAGANDA

Czy to dlatego, że Brytyjczycy niezbyt lubią propagandę i mają w niej małe doświadczenia, czy może dlatego, że polityka anglosaska w ogóle, a brytyjska w szczególności, nie ma ustalonego poglądu na problemy europejskie zaczynające się na wschód od Łaby — w każdym razie jest pewne, że wiele wysiłku, a zapewne i pieniędzy idzie na marne.

Przykładem typowym dla tego poglądu jest znane już i komentowane wystąpienie BBC w języku polskim, więc do Polaków, przekonywające ich, że właściwie dobrze by było, gdyby ziemie polskie na wschód od Odry i Nisy wróciły do Niemiec. Jedynym realnym rezultatem takiej audycji będzie prawdopodobnie spadek polskich słuchaczy BBC. Jeśli już nic mądrego z tych programów posłyszeć nie można — pozostaje muzyka, albo w ogóle cisza. Dodatkowym rezultatem omawianej audycji radiowej było zapewne szczególne poirytowanie tysięcy polskich słuchaczy, którym tego poirytowania nie oszczędzono robiąc w tej sprawie prelegentem mister Grabowski'ego.

Najbardziej bowiem irytuje słuchacza, gdy mu przestawiają pewne jego uporządkowane pojęcia.

Mister Z. Grabowski trafił z politycznym komentarzem do polskiego programu BBC jak — powiedzmy — „Dick Barton Special Agent" do audycji „To-day in Parliament". W każdym systemie radiowym są specjaliści. Trudno uważać, by mister Z. Grabowski był specjalistą od polskich zagadnień terytorialnych. Znany jest Polakom jako autor najlżejszej, frywolnej literatury. To wystarczy, żeby stwierdzić, że twórca „Anny" źle się propagandzie brytyjskiej przysłużył.

JASKRAWE NADUŻYCIE

Zdarza się nieraz, że nawet poważni ludzie mówiąc o emigracji, jednym tchem prawią o jej rozbiciu, o braku jedności, rozproszkowaniu i jeszcze dalszych procesach „rozkładowych", — tak że stało się to modne, obowiązujące i przyjęte za udowodnione. Jest w tym co najmniej sporo przesady, bo obok procesów rozkładowych, kończenia się sztucznych, nietrwałych i przelotnych kombinacji politycznych, mamy procesy dośrodkowe, konsolidacyjne. Zanim jednak Polak o Polaku powie coś korzystnego wiele wody w Tamizie upłynie.

Tendencja uogólniania i utyskiwania jest szczególnie w jednym punkcie całkowicie niesłuszna, a mianowicie w tym, że procesy polityczznego „rozkładania się" emigracji są czymś naturalnym, prawie od woli ludzkiej niezależnym, niekierowanym i nienarzucanym. Po prostu coś w rodzaju teorii samorództwa. Otóż to właśnie jest nieprawdziwe i nieprawdę tę można udowodnić — z korzyścią dla naszej równowagi umysłowej i psychicznej — na przykładzie polskim, a ściślej londyńskim. Procesy rozbijania życia społecznego i politycznego są zazwyczaj prowokowane.

Nie ma dziedziny, gdzieby metody wypróbowane w ciągu 13 lat przed wojną nie były zastosowane. Od kół pułkowych do Koła Generałów i Pułkowników wdziera się metoda prowokowania równowagi umysłowej i psychicznej Polaków, metoda „wykańczania" każdego, kto ma inne zdanie na sprawy publiczne niż mają ludzie uważający się za jedyny autorytet w tych sprawach.

Trzeba wreszcie powiedzieć opinii publicznej, że ostatnie rozgrywki na terenie kół koleżeńskich — są jaskrawym nadużyciem imienia i nazwy tych organizacji używanych również, jak Koło Generałów i Pułkowników, do partykularnych rozgrywek politycznych, w myśl sloganu: kto nie z nami — ten „antypaństwowy".

Ostatnim wydarzeniem jest głośna w kołach polskich Londynu „sprawa" gen. T. Bora-Komorowskiego, b. dowódcy Armii Krajowej, b. Naczelnego Wodza i b. Premiera Rządu R. P. W dniu 21 maja br. w pewnym domu londyńskim, który powinien być oszczędzany we wszelkich rozgrywkach wewnętrznych, a szczególnie tego rodzaju, odbył się „sąd" nad gen. Borem-Komorowskim za to, że jako czynnie działający w polityce polskiej był jednym z tych, którzy urzędowym czynnikom amerykańskim przedstawili konieczność ratowania Polski podpisując w październiku ubiegłego roku memoriał na konferencję ambasadorów U S A. Z wyraźnym nadużyciem przepisów statutu Koła Generałów i Pułkowników kilku wojskowych panów piętnuje — w wyroku zaocznym gen. Bora nazywając jego współudział w akcji na terenie polityki międzynarodowej „aktem nielojalności wobec państwa", „czynem dla państwa wysoce szkodliwym oraz godzącym w podstawowe zasady obowiązku żołnierza". Przecieramy oczy. Gdzie to jesteśmy? W jakiej sytuacji? Czy tych siedmiu panów podpisanych pod tego rodzaju „wyrokiem" zdaje sobie sprawę z całej śmieszności jaką opinia polska, opinia walczącego narodu okryje ich postępek? Ostatecznie — powie ktoś — wolno im się ośmieszać, ale dlaczego robią to pod firmą i nazwą polskich żołnierzy? Dlaczego prowokują szkodliwy rozdział między żołnierzem, pojmującym obowiązki wobec ojczyzny tak, jak je pojął w swym działaniu gen. Bór, a wyższym wojskowym? Przecież rozciągnięcie na wszystkich polskich generałów i pułkowników odpowiedzialności za wybryk z dnia 21 maja byłoby rozciąganiem śmieszności na b. dowódców. A wiemy skądinąd, że ze stanowiskiem panów podpisanych pod „wyrokiem" za pracę dla Polski wielu b. dowódców się nie solidaryzowało. I to zwłaszcza tych, którzy zdobyli sławę żołnierską w ostatniej wojnie poświęceniem, odwagą i talentem wojskowym.

Orzeczenie to gen. Bora dotknąć nie może. Jest zbyt absurdalne, zbyt jaskrawe w swej stronniczości, zbyt grube. Gdy jeszcze do epitetów tekstu „wyroku" dodamy dalszy ich ciąg z „uzasadnienia" — zobaczymy jak daleko sięga złośliwość siedmiu podpisanych panów. Uzasadnienie bowiem powiada, „że w normalnych warunkach państwowego życia czyn gen. B. Komorowskiego powinien być rozpatrzony przez Sąd Wojskowy, jako gorszące naruszenie żołnierskiej dyscypliny i państwowej lojalności".

A więc nic innego, tylko przestępstwo z punktu widzenia Wojskowego Kodeksu Karnego!

Właściwe będzie, żeby się owych siedmiu panów od opinii polskiej dowiedziało, że ich pogróżki są spóźnione o dobrych kilkanaście lat. Nie ma powrotu do czasów, gdy można było fabrykować procesy na takich podstawach, czy aranżować „tajemnicze i niewyjaśnione zaginięcia" generałów. Można się bawić przestawianiem wstecz wskazówek zegarka, czasu się przez to nie zatrzyma, ani nie odwróci wstecz jego nieubłaganego biegu. Naród polski dawno odrzucił „wszystko co go dzieli" — metody życia publicznego, których przykładem jest orzeczenie z dnia 21 maja 1950 r.

CZYIM ORGANEM JEST „ORZEŁ BIAŁY"?

Stanowisko „Orła Białego" w sprawach wewnętrzno - politycznych jest znane od dawna. Pokrywa się ono z poglądami kół, wywodzących się z przedwojennej sanacji. Nie byłoby w tym nic zdrożnego, gdyby pismo to nie wprowadzało metod, które przez tak długi okres zatruwały atmosferę polskiego życia politycznego, i które — sądziliśmy — powinny były już dawno zniknąć.

Ostatnio, w przededniu walnego zjazdu delegatów SPK w Wielkiej Brytanii, „Orzeł Biały" wydrukował niewybredny „apel-rozkaz" gen. Ducha, do jego byłych podkomendnych, by weszli do organizacji i dokonali wyboru nowych władz, ponieważ rzekomo „masa żołnierska przeszło stutysięczna nie znalazła wpośród siebie właściwych reprezentantów we władzach SPK". Oczywiście gen. Duchowi chodziło o „właściwych", czyli duchem do niego podobnych reprezentantów. Gen. Duch nie docenił wyrobienia obywatelskiego ani swoich byłych podkomendnych, ani szerokiej masy byłych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych. Zjazd delegatów SPK w sposób poważny dał należytą odpowiedź niewczesnym próbom dyktowania rozkazem, co mają myśleć i jak postępować b. żołnierze, a dziś członkowie wolnej społeczności emigracyjnej.

Niemniej sam fakt, że wystąpienie gen. Ducha mogło w ogóle mieć miejsce w roku 1950, jest objawem nad wyraz niepokojącym. Chcielibyśmy uważać, że wystąpienie gen. Ducha jest wypadkiem odosobnionym, który nie powinien rzucić cienia na grono wyższych wojskowych. Wiemy pozytywnie, że główną troską wielu z nich jest dbałość o zachowanie zdrowia moralnego i chlubnych tradycji wojskowych w środowisku b. żołnierzy.

Wróćmy jednak do „Orła Białego". W komentarzu redakcyjnym do oświadczenia wydanego przez Zarząd Główny SPK w odpowiedzi gen. Duchowi, redaktorzy „Orła Białego" tłumaczą się, że „istotną cechą demokracji oraz obyczajów, obowiązujących w ustrojach zachodnich, jest stałe oddziaływanie obywateli i czynników związanych z tymi ustrojami, jak np. prasy na całość życia zbiorowego". Zgoda. Ale czy można sobie wyobrazić choćby na chwilę, by np. marsz. Montgomery bądź marsz. Alexander w Wielkiej Brytanii, czy gen. Eisenhower bądź gen. Bradley w Ameryce wydawali apele do członków organizacji kombatanckich, by wybrali taki czy inny zarząd? A gen. de Gaulle? Przecież nawet redaktorzy „Orła Białego" powinni wiedzieć, że założył on własne stronnictwo, poprzez które realizuje swój program polityczny, podkreślamy — program polityczny.

I tu leży istota zagadnienia. Do cech i obyczajów, obowiązujących w ustrojach zachodnich, należy, by generałowie czy inni wojskowi, skoro chcą odegrać rolę polityczną, czego im nikt zabronić ani nie może ani nie chce, zostawili wojsko na boku, bo ono jest i musi być własnością całego narodu i interesom całego narodu służyć. Przykład znowu jest tuż pod ręką. W brytyjskiej Izbie Gmin zasiada sporo b. oficerów, od generałów do podporuczników, zasiadają tam oni jednak nie z tytułu swego stopnia wojskowego — choć ze względów kurtuazyjnych zwykło się ich nadal tytułami wojskowymi obdarzać z dodatkiem przymiotnika „gallant" — ani nie zasiadają jako reprezentanci b. żołnierzy, którymi kiedyś dowodzili, ale jako reprezentanci wyborców z listy konserwatywnej, laburzystowskiej, liberalnej czy wreszcie jako niezależni.

W redakcji „Orła Białego" chyba muszą być znane te proste reguły i obyczaje ustrojów zachodnich. Wbrew tym regułom i obyczajom, pod pozorem reprezentowania opinii kombatanckiej, od mniej więcej roku, „Orzeł Biały" na swoich łamach wypowiada wyraźnie jednostronne poglądy jednej grupy politycznej, a mianowicie „Ligi Niepodległości" i SL „Wolność" (odłamu p. Kuncewicza, nie p. Skowyry). Czy głoszenie poglądów wyraźnie określonej grupy politycznej jest sprawą tak wstydliwą, by trzeba się było podszywać pod opinię kombatancką? Sądzimy, że powinno stać redaktorów „Orła Białego" na tyle odwagi cywilnej, by wreszcie powiedzieć opinii publicznej, czyim są organem.

SAMOBÓJSTWA

Wiele w ostatnich czasach uwagi poświęciły pisma polskie rozważaniom nad przestępczością wśród Polaków w Wielkiej Brytanii. Przestępczość ta w istocie jest, jak na grupę oderwaną od tradycyjnych warunków życia, pozbawioną kontroli własnego środowiska rodzinnego i przeniesioną w świat innych stosunków i pojęć, bardzo niewielka. Natomiast nie zwraca się w społeczeństwie emigracyjnym uwagi na inny groźny objaw, jakim jest fala samobójstw. Jeden z naszych czytelników ze środkowej Anglii mówił nam, że w jego okręgu przemysłowym zdarza się co kilka dni jakieś samobój-

stwo polskie. Połączone to jest najczęściej z utratą równowagi psychicznej lub manią. Samobójcami nie są bynajmniej zdeklasowani inteligenci, lecz ludzie prości.

Nikt nie prowadzi statystyki samobójstw wśród Polaków, ale każdy napotyka w prasie na częste wzmianki o nich. W wielu wypadkach teraz dopiero, w pięć lat po tragicznym zakończeniu wojny, wychodzą na jaw ostateczne skutki przeżyć psychicznych ponad wytrzymałość przeciętnego człowieka.

A swoją drogą dowodzi to także niedostatecznego promieniowania ośrodków wiary i kultury społecznej. Niejednego z tych ludzi można było może psychicznie uratować.

JEDNOŚĆ W DZIAŁANIU NAKAZEM CHWILI

Pod tym hasłem trzy stronnictwa, zasiadające w Radzie Politycznej (Stronnictwo Narodowe, Polska Partia Socjalistyczna, PRW „Niepodległość i Demokracja") urządziły 19 ub. m. zgromadzenie publiczne w dużej sali Westminster Cathedral Hall w Londynie. Celem zebrania było zaznajomienie szerokiej opinii publicznej z programem odbudowy jedności politycznej na emigracji w oparciu o ciągłość prawną państwa polskiego i w demokratyczny sposób wykonywaną konstytucję.

Zebranie w szczelnie wypełnionej sali zagaił przewodniczący Wydziału Wykonawczego Rady Politycznej, min. Jerzy Zdziechowski, który pierwszym zdaniem postawił zagadnienie główne, stawiając zgromadzonym pytanie retoryczne: „Jeżeli — jak wynika z uchwał niedawnych Stowarzyszenia Polskich Kombatantów — rozłam polityczny przeszkadza pracy kombatanta w terenie, to cóż powiedzieć o szkodach i stratach, które on powoduje na gruncie polityki zagranicznej? Jedno jest pewne: interesy polskie nie są tam dostatecznie bronione. W stosunkach międzynarodowych — oświadczył dalej min. Zdziechowski — sprawa polska może obecnie wypływać często i nagle. Wpłynie na to wejście na arenę międzynarodową nowego aktora, Niemiec, i zaktualizowanie zagadnień środkowej i wschodniej Europy pod wpływem zaostrzającej się ofensywy Zachodu w zimnej wojnie, a także osłabienie kontaktów dyplomatycznych państw zachodnich z satelickimi reżimami za żelazną kurtyną. A wtedy, gdy Niemcy powracają do rodziny europejskiej witani z otwartymi ramionami przez zachodnich Europejczyków, a polityka polska miałaby widoki na zorganizowanie współpracy ośrodków emigracyjnych państw ujarzmionych, czym że my Polacy rozporządzamy jako bronią w działaniu? Ciągłość prawno-konstytucyjna władzy państwowej nie jest atutem, który może być obecnie w polityce zagranicznej wygrywany. Walor i użyteczność tego atutu w przyszłości będą wyłącznie zależały od stopnia oparcia tej ciągłości na wielkich polskich tradycyjnych ruchach politycznych. Jedyną naszą legitymacją, jedynym instrumentem dyplomatycznym, jakim moglibyśmy dysponować, byłaby **jedność narodowa**. A jeżeli tak jest i wobec historycznej odpowiedzialności, która spoczywa na barkach naszej politycznej emigracji, czy nie zbliża się chwila zwrócenia się do tych, którzy z tytułu piastowanych stanowisk i urzędów powinni być tej jedności naturalnymi stróżami, by zdali sprawozdanie z tego, co zrobili i robią, by polityce polskiej tę drogocenną podstawę dla działania zapewnić. Zebranie dzisiejsze — zakończył swe słowo wstępne min. Zdziechowski — poświęcone omówieniu dotychczasowych wysiłków odtworzenia takiej jedności, powinno być dla nich dowodem wzrastającego zniecierpliwienia emigracyjnej społeczności ich milczeniem i bezczynnością".

PRZEMÓWIENIE MEC. STYPUŁKOWSKIEGO

Jako pierwszy z mówców zabrał głos mec. Zbigniew Stypułkowski. Swoje przemówienie zaczął on od porównania stosunków polityczno-ustrojowych angielskich z polskimi. Ustrój imperium brytyjskiego, budowanego przez setki lat, zostaje zmieniony zwykłym protokołem konferencji premiera Wielkiej Brytanii z premierami dominiów. Nikt nie kwestionuje formy załatwienia historycznego problemu, w formie nie szuka trudności, nie wytacza o nią sporu, bo ważna tu jest istota. Gładko funkcjonujący ustrój zawdzięcza społeczeństwo brytyjskie nieprzerwanej tradycji życia w wolnym państwie, silnemu poczuciu lojalności w stosunkach wzajemnych między ludźmi i kierunkami politycznymi. Gdy trzeba, rozstrzyga głosowanie. W innych wypadkach — znacznie czasami ważniejszych — wyczucie opinii wystarcza, aby nawet formalna większość jej się podporządkowała. Ponadto, spory jeśli są nieuniknione, nie dotyczą teoretycznych ustaleń, ogólnikowych deklaracji, ale praktycznych zagadnień, wymagających natychmiastowego i znowu praktycznego rozwiązania. Jesteśmy jako społeczeństwo polskie, wszyscy razem i każdy oddzielnie, daleko od osiągnięcia tej sztuki rządzenia naszymi sprawami. Skłonność do uogólnień, do przeskakiwania myślą najważniejszych etapów, do werbalnego stawiania sprawy i przywiązywania wagi do słów bez pokrycia, czy oznaczają one działanie lub czy i w jakim stosunku są do działania, do rzeczywistości — oto nasza narodowa wada. Dlatego jesteśmy tacy słabi w przygotowywaniu pracy obliczonej na daleką metę, wymagającą realizacji etapami, a dopiero pod wpływem bezpośredniego niebezpieczeństwa — jako naród zdolny i ofiarny — w improwizacji szukamy ratunku.

Byłoby zbytnim uproszczeniem — ciągnął dalej mec. Stypułkowski — nazywać ten nieznośny, a straszliwie niebezpieczny stan opinii, jakiego jesteśmy świadkami przynajmniej w sferach kierowniczych polskiej emigracji politycznej, stanem skłócenia. Jest to objaw głębszy, który wypływa z naszej niezdolności wydobycia się z formułek, z rutyny przeszłości. Bo czyż my tu w Londynie przede wszystkim, gdzie skupiony jest najsilniej ośrodek kierowniczy naszego życia politycznego, spieramy się o rzeczy ważne, czy spieramy się o drogi, po których dojdziemy do wolnej ojczyzny. Na pewno nie. Przeciwnie, Polacy w zakresie tego, czego chcą, do czego dążą, są zjednoczeni jak chyba nigdy nie byli. Przejdźmy do oceny narzędzi, przy pomocy których chcemy wykonać zadania stojące przed polityką polską. Mówię o środkach działania, a nie o celu. Środki można zmieniać, co do środków można się różnić, pamiętając zawsze, by środki dostosowywać do potrzeb celu, a nie zapominać o celu dla zachowania środków. Czy może w tym się różnimy? Ważnym, bardzo ważnym narzędziem naszego działania jest to, co zwykło się nazywać legalizmem, a co ma — przez zachowanie na emigracji instytucji państwa niepodległego, choćby w formie szczątkowej — dać wyraz prawdzie, że w przekonaniu Polaków Polska swego bytu państwowego nie przerwała, że walka jest nie skończona i że wśród narodów, które walczą i walczyć będą o wolność w świecie, należy się jej miejsce równorzędnego partnera i to partnera, wobec którego wszystkie zobowiązania powzięte w obliczu drugiej wojny światowej i w jej biegu, wciąż trwają. Wszyscy Polacy, na których opinii nam, tu zgromadzonym, zależy, mają w tym względzie wspólną postawę. Z tego wypływają logiczne konsekwencje. Niezależny byt państwowy, choćby reprezentowany na obcej ziemi, musi mieć swój wyraz w postaci głowy państwa i rządu. Ale jeśli to nie ma być ustrój dyktatorski ani monarchiczny, powinien istnieć jakiś organ o obszernych kompetencjach, których będzie wyrażał miarodajnie wolę zbiorową narodu. Na to znowu wszyscy się zgadzają.

Dalej, fakt istnienia tych organów państwa musi logicznie wypływać z zasady, której bronimy — jego nieprzerwanej ciągłości. Temu celowi służy uznawanie konstytucji z roku 1935 jako obowiązującej. Chociaż była jej legalność kwestionowana w latach przedwojennych w Polsce, chociaż powszechnie jest rozumiana jej wadliwość, postanowiliśmy nie wszczynać o to sporów dzisiaj, skoro ważny w niej jest dla praktycznego działania jeden, jedyny artykuł, ten, który buduje podstawy pod legalne urzędowanie Prezydenta.

(Ciąg dalszy na stronie 6)

WACŁAW IWANIUK

Z WIERSZY WSPÓŁCZESNYCH

ZAKOŃCZENIE

Kiedy w ziemię uderzy sprawiedliwość własna,
— o modlitwo poranna po co mi twój promień —
kiedy na oczy pada liść i źrenice chcą zasnąć,
by serca zagłuszyć płomień?

By serca zagłuszyć płomień i odebrać oczom
ostatnią wizję dnia i nocy bezsennej drżenie...
—W ciemności ptaki spragnione i gwiazdy się toczą,
do źródeł, gdzie piją jelenie...

Do źródeł, w których śni ryba i woda jest pełna
mieczy, co w słońcu świecą.
A kiedy kamień spadnie lub łza na źródło senne,
tną śpiące ciało ryby niewidzialne miecze...

Lecz w nas już nie ugodzą żadne ostrza wroga,
pod tą powierzchnią czasu rdza wszystko przeżera,
dziś szczęście, a nie rozpacz, napełnia nas trwogą,
cierpimy, kiedy trzeba żyć, a nie umierać...

Nie wiem, gdzie leżą źródła dla nas i jaka woda
milsza, gdy człowiek pragnie.
Łatwiej mi dziś jest sercu octu kroplę biblijną podać,
niż ofiarować jagnię...

A potem zamknąć wszystkie bogactwa przyrody:
oczy, usta i serce...
Pozostaną tylko spragnione u wody
jelenie — nic więcej!

WIKTOR TROŚCIANKO

Z POEMATU „CZTERY PORY ROKU"

L A T O

Trzciny na obłokach się chwieją,
soczystą trawę koszą ludzie smagli.
Dwa jeziora — przedzielone mierzeją,
pełne przechyłu nieba, zieleni głębokiej i żagli.

Środkiem wody miedza — jak strzelił
na daleki, niewidoczny brzeg,
pasmo włosów miedzianych i bieli,
— słoneczny przez jeziora ścieg.

Upał pulsuje w zbożu,
konik cyka na pokosach siana.
Można kosy na godzinę odłożyć —
podpędziło się robotę od rana.

Woda za granicą sitowia
czeka by ją przeciąć ramieniem,
zejść do dna i tam w żwirze łowić
muszle pod kosmatym kamieniem.

potem jabłoń nad głową cienie pozaplata —
wiatr staruszkę tu przyniósł. Dzika, samorodna.
... dobre będzie — już widać — żniwo tego lata,
jesień syta i zima niegłodna.

HENRYK MIRZWIŃSKI

Ś M I E R Ć

Twego głosu opartego o łuki
trudnych harmonii prawdy,
twego głosu, co wypełnia ciszę
słowem bez mowy twardym
tu nie odszukam,
tu nie usłyszę.

Choćbym mowę ludzką
wkradającą się przez okno
jak księżyc
nakrył płaszczem pogardy,

choćbym warkot i turkot
wplecione w me życie
jak wiersze
zatrzymał hamulcem nerwów,

tu nie usłyszę
twego głosu harmonii,
tu nie ogarnę
twej myśli piękna.

Bo moja cisza —
to łomot serca - oskarda,
bo moja cisza —
to krwi rozpędzonej tętno
i poszum myśli hardych!

Dopiero gdy serce me pęknie
któregoś dnia...

(Dokończenie ze strony 4)

A wreszcie najważniejszym narzędziem, choć wciąż jeszcze narzędziem, w naszym działaniu jest to, co nazywa się zgodą narodową, czy jednością, a co jest tylko dojrzałością polityczną narodu, która nakazuje, aby przy ubóstwie środków, które mamy w swej dyspozycji — nie krzyżować swoich kroków, nie dawać rożnych naświetleń sprawy obcym, bronić się razem i jeśli potrzeba razem atakować. Jedność w działaniu jest nagląca, wypływa z praktycznej potrzeby, a nie jest tylko wyrazem sentymentalnych uczuć czy skłonności do górnolotnych frazesów. W kraju do tej jedności doszło w latach wojny nie przez czcze deklaracje, ale w ogniu doświadczeń; nie przez teoretyczne rozważania, ale kosztem wielkich ofiar. Jedności wymaga nie tylko sytuacja międzynarodowa, ale jedność działania wyrażająca się w uporządkowaniu naszych instytucji politycznych, jest też bardzo potrzebna naszemu społeczeństwu na emigracji. Mamy w nim utajone zapasy energii narodowej, którą trzeba wyzwolić i rzucić na szalę naszej wielkiej sprawy.

Rozprawiając się z dialektyką ośrodków, w których tkwią główne opory przeciwko jedności w działaniu, mec. Stypułkowski oświadczył: Mówi się — nie możemy połączyć naszych wysiłków w jedno ze Stronnictwem Narodowym, PPS i NiD, bo oni chcą pogwałcić konstytucję. Według jej brzmienia w osobie Prezydenta skupia się jednolita i niepodzielna władza państwowa, na nim spoczywa odpowiedzialność wobec Boga i historii. Wspomniane stronnictwa chcą przesunąć ciężar odpowiedzialności na ciało zbiorowe, złożone z przedstawicieli wielkich prądów ideowych, ożywiających nasz naród, a Prezydenta ograniczyć do roli arbitra pomiędzy nimi. Czy jest w tym rozumowaniu coś więcej niźli dialektyka? Wszakże nie tylko Prezydent według konstytucji ponosi odpowiedzialność wobec Boga i historii. Artykuł 1 konstytucji, który stoi przed art. 2 mówi o odpowiedzialności wszystkich obywateli, których państwo polskie jest wspólnym dobrem. Głosi on, że każde pokolenie obowiązane jest wysiłkiem własnym wzmóc siłę i powagę państwa, a za spełnienie tego obowiązku odpowiada przed potomnością swoim honorem i swoim imieniem. Prezydent Rzeczypospolitej dzisiaj — módlimy się wszyscy aby na krótko — utracił swe główne środki działania: nie ma wojska, policji, nie może stosować środków przymusu. Obywatelom pozostały nienaruszony honor i dobre imię Polaka. Kto może w tych warunkach zdziałać więcej i skuteczniej, aby państwo polskie „wskrzeszone walką i ofiarą najlepszych swoich synów było przekazane w spadku dziejowym z pokolenia w pokolenie“? Czyż chodzi tu o zniszczenie powagi autorytetu najwyższego przedstawiciela państwa, czy też odwrotnie o danie mu nowych środków do działania, płynących z żywych sił politycznych i społecznych, wytrawnych w walce, którą prowadziły w kraju, gdy państwo runęło, i państwo to skutecznie zastępowały, chociaż w podziemiu. Bez tej pomocy żaden Prezydent, choćby o niespożytej energii, nie jest w stanie wypełniać swoich obowiązków. A gdy ich nie będzie wypełniać — nikt w świecie, choćby dalej nosił ten tytuł, za reprezentanta państwa go nie będzie uważał, z nim się znosił i z nim traktatów zawierał. Dlatego — i właśnie na podstawie konstytucji, ponieważ „Państwo Polskie jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli“, Prezydent musi ich powołać do współpracy.

Nikt dziś z Polaków nie przyjmie tezy, że odpowiedzialność za losy państwa spoczywa na jednej osobie. Kto by to przyjął, byłby szaleńcem. Nie zwalnia to jednak od wielkiej, historycznej roli, jaką urząd Prezydenta nadaje osobie, ten urząd piastującej. Byłoby wielkim błędem o tym zapominać i tego nie doceniać. Czy jednak ktoś to podważa poza p. Mikołajczykiem? Mówi się, że wszelka dyskusja na temat zmiany na stanowisku Prezydenta podważa autorytet urzędu. Cóż to za cezaropapizm, niewczesny w naszych warunkach. Żywię szacunek dla Prezydenta, ale poczytywałbym sobie za ujmę, gdybym — doszedłszy do przekonania, że powinien ustąpić ze względu na dobro publiczne — zataił to. Prezydent w naszych warunkach może nie mieć wojska ani policji, ale to co musi mieć — to powszechne zaufanie, nawet sentyment. Czy takie stanowisko jest sprzeczne z konstytucją? Bo na pewno nie ze zdrowym rozsądkiem. Konstytucja — w najśmielszej wyobraźni jej autorów — nie przewidywała dożywotnich prezydentów, i to prezydentów, którzy swój urząd objęli nie z woli narodu, a na podstawie wyjątkowego przepisu. Czy naprawdę zbrodnią jest wobec interesu narodowego przedyskutować i dojść do wspólnej konkluzji, kiedy i w jakich warunkach zajdzie potrzeba zmiany na stanowisku Prezydenta według procedury przez konstytucję przepisanej, aby wzmocnić pozycję samej sprawy Polski?

W tej dialektyce na temat nienaruszalności postanowień konstytucji jest dużo bałamuctwa. Przedstawiciele „Ligi Niepodległości“ odrzucają jakiekolwiek ograniczenie uprawnień Prezydenta (wciąż przypominam: „skupiającego jednolitą i niepodzielną władzę“), wysuwają projekt, aby Rada Jedności Narodowej uzyskała uprawnienia do uchwalania budżetu państwowego i wyrażania wotum nieufności wobec rządu, powoływanego przez Prezydenta. To wotum miałoby być wiążące dla Prezydenta i w ten sposób ograniczyć jego samowładzę, harmonizując jego decyzje z wolą stronnictw w Radzie Jedności Narodowej zasiadających. Może to być projekt słuszny, na podstawie którego dałoby się ustawić należycie strukturę naszej polityki. Szkoda, że nie został on wysunięty jako oficjalna propozycja czy też kontrpropozycja w stosunku do propozycji Rady Politycznej. Ale konia z rzędem temu, kto udowodni, że takie kompetencje Rady Jedności Narodowej byłyby zgodne z dosłowną literą konstytucji, tak jak ją rozumieją wyznawcy teorii „konstytucji dla samej konstytucji“.

W szerokich masach społeczeństwa emigracyjnego żądanie odbudowania jednego, skutecznie działającego ośrodka polityki polskiej, staje się coraz natarczywsze. Kto się chce dowiedzieć, jakie poglądy ożywiają naszą emigrację, a to może być pouczające — niech przeczyta sobie uważnie uchwały ostatnich kongresów Zjednoczenia Polskiego i Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Są one wyrazem zorganizowanych, a więc najbardziej świadomych sił tej emigracji.

Byłoby z wielką szkodą dla sprawy narodowej — zakończył swe przemówienie mec. Stypułkowski — gdyby to stanie nasze w miejscu i w sypkim piachu powodowało rysy w tym środowisku, o którego zdrowie i prężność musimy wszyscy dbać najwięcej. Myślę o środowisku naszych byłych żołnierzy, którzy jutro znowu sztandar Polski podejmą. Jeśli i tam zaczną się sądy generałów nad generałami za poglądy na sprawę publiczną, jeśli przysięga żołnierska zacznie być narzędziem rozdwojenia tego środowiska — oznaczać to będzie już nie stanie w miejscu, ale cofanie się w rozsypce. Nasza decyzja musi być natychmiastowa i może być tylko jedna. Usunąć przeszkody stojące na drodze do odbudowy jedności działania. W przeszkodach tych nie dopatrujmy się skał, które są nie do ruszenia. O to walczyć będzie w dalszym ciągu Rada Polityczna.

* * *

Z kolei przemawiali pp. B. Wierzbiański i A. Ciołkosz. Pierwszy omówił koniunkturę, jaka pojawia się dla ożywionej działalności polskiej na gruncie międzynarodowym. P. Ciołkosz zaś przedstawił zgromadzo-

nymi treść i przebieg rozmów, zainicjowanych przez stronnictwa zasiadające w Radzie Politycznej, i przyczyny ich niepowodzeń.

Zgromadzenie, które żywo reagowało na argumenty mówców, zamknął min. Zdziechowski, stwierdzając, że zebranie to mogłoby być punktem wyjścia w poszukiwaniu jedności dla nowej akcji politycznej. Polegać ona winna na odwołaniu się do siły, jaką stanowi opinia publiczna. Chociaż w swej istocie siła ta bywa zmienna, ponosi ona odpowiedzialność przez stałość swego oddziaływania. Narzekać na wady polskiego charakteru, załamywać ręce, zachwalać apolityczność, grzmieć na partyjnictwo, trwać w bierności, gdy imperatywem jest jedność działania — nikogo od odpowiedzialności nie zwolni. Żadne zasługi nie potrafią zmazać win czynów, zdziałanych przeciw jedności narodowej, bezczynności, nieszczerego lub obojętnego do tej sprawy stosunku. Ta opinia publiczna emigracyjnych lat pięćdziesiątych, jeżeli nie wywrze swego wpływu na tych, co są odpowiedzialni za rozbicie, a teraz czynią wszystko, by do jego usunięcia nie dopuścić, również może się kiedyś znaleźć na ławie oskarżonych.

MICHAŁ PORADOWSKI

PANAMERYKANIZM I HISPANIDAD

WZRASTAJĄCE napięcie między Stanami Zjednoczonymi i Rosją, między światem komunistycznym i demokratycznym oraz dziesiątki niesłychanie doniosłych wydarzeń politycznych z tym związanych pochłaniają naszą uwagę do tego stopnia, że mało zajmujemy się innymi zagadnieniami. Tymczasem na obecną sytuację polityczną wpływają także i inne czynniki, których doniosłości nie wolno nam lekceważyć, jeśli chcemy uniknąć pomyłek w ocenie faktów i, co ważniejsze, w przewidywaniach najbliższej przyszłości. Do takich wydarzeń należą, między innymi, przemiany jakie zachodzą na drugiej półkuli, a w szczególności konflikt między dwoma prądami całkującymi kontynent amerykański, a mianowicie między panamerykanizmem i hispanidad.

Wszyscy już dzisiaj zdają sobie sprawę z procesu jednoczenia się świata — tego może najbardziej charakterystycznego zjawiska socjologicznego naszych czasów. Nie zawsze jednak zwraca się należytą uwagę na drogi, jakimi proces ten się dokonuje oraz na trudności na jakie napotyka i, co najważniejsze, na jego błyskawiczną szybkość. Gdy przed wojną mówiło się u nas o konieczności harmonizowania gospodarki narodowej z gospodarką europejską — myśl taka wydawała się postępowa, ale mało realna, gdyż w rzeczywistości nie istniała „gospodarka europejska", w sensie pewnej całości organicznej. Tymczasem dzisiaj, gospodarcze łączenie się i organizowanie się kontynentów, z dziedziny postulatów i teorii, przechodzi do dziedziny faktów i jesteśmy świadkami powstawania zalążka tego, co niewątpliwie już w niedalekiej przyszłości będzie słusznie nazywało się „gospodarką światową".

Proces jednoczenia się świata dokonuje się głównie w płaszczyźnie gospodarczej i na drodze organicznej, tj. przez stopniowe powstawanie większych organizmów gospodarczych kontynentalnych. W tej dziedzinie, Europa wydaje się wyprzedzać Amerykę, okazuje się bowiem, że problem gospodarczego zjednoczenia kontynentu amerykańskiego przedstawia się niemniej skomplikowanie niż europejskiego.

Na półkuli amerykańskiej, jak wspomnieliśmy, występują dzisiaj dwa prądy całkujące: panamerykanizm i hispanidad. Zestawienie tych dwóch prądów nie jest łatwe, gdyż w rzeczywistości nie są to zjawiska jednorodne. Panamerykanizm jest ruchem przede wszystkim gospodarczym, a następnie politycznym. Hispanidad jest ruchem niemalże wyłącznie kulturalnym. Co więcej, panamerykanizm jest procesem całkującym, który obejmuje cały kontynent amerykański, tj. Amerykę Północną (wraz z Kanadą) i Południową, gdy natomiast hispanidad jest ruchem obejmującym jedynie Amerykę Środkową i Południową oraz, co najważniejsze, sięga na kontynent europejski (Półwysep Iberyjski). Oba te prądy, na terenie Ameryki Południowej, są z sobą w ostrzejszym konflikcie, niż komunizm i demokracja w Europie zachodniej. A ma to swój refleks również i na sytuacji europejskiej; kto wie bowiem, czy właśnie nie **tutaj leży klucz do zagadki niedopuszczania przez Stany Zjednoczone Hiszpanii do organizowanej Wspólnoty Antlantyckiej.**

Cóż to jest panamerykanizm? Kto zna koncepcje stare i nowe Paneuropy, ten może sobie łatwo — na drodze analogii — odpowiedzieć na pytanie co to jest panamerykanizm. Różnica jednak jest zasadnicza, a leży ona w tym, że Paneuropa była i pozostała **koncepcją**, z której niewiele zostało urzeczywistnione, podczas gdy panamerykanizm jest **rzeczywistością** polityczną, jest faktem. Że za tym faktem kryje się być może także i koncepcja — to inna sprawa, ale nas tutaj, w artykule mającym charakter szkicu z socjologii polityki, nie obchodzą koncepcje, a tylko fakty. Z punktu widzenia socjologicznej analizy faktów trzeba stwierdzić: 1) że panamerykanizm jest prądem całkującym gospodarczo i politycznie cały kontynent amerykański, 2) że prąd ten nie jest zjawiskiem spontanicznym (chociaż niewątpliwie jest jednym z przejawów spontanicznego procesu jednoczenia się świata), ale że jest kierowany przez najpotężniejszy ośrodek polityczny na kontynencie amerykańskim, a mianowicie przez Stany Zjednoczone. Innymi słowy, panamerykanizm jest to gospodarcze i polityczne jednoczenie się całego kontynentu amerykańskiego, pod kierunkiem Stanów Zjednoczonych.

Panamerykanizm nie ma jeszcze jasno wykrystalizowanego charakteru, a to nie tylko dlatego, że ścierają się w nim najrozmaitsze kierunki, ale także i na skutek tego, że prąd ten przeszedł przez bardzo poważne przeobrażenia. Zrodził się bowiem w epoce nacjonalizmów i imperializmów, a w początkach swych był przejawem ekspansji jankesów, zwłaszcza, iż szedł w kierunku krajów, które stały o wiele niżej kulturalnie i gospodarczo od Stanów Zjednoczonych. Ale z czasem, gdy zaczął obejmować coraz więcej krajów i gdy na skutek tego w jego kierownictwie coraz donioślejszą rolę zaczęły odgrywać także i elementy pozajankesowskie, panamerykanizm począł przybierać charakter podobny raczej do Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, tj. dążności do wytworzenia ścisłej wspólnoty gospodarczej i politycznej kontynentu amerykańskiego, pod egidą Stanów Zjednoczonych, ale przy poszanowaniu odrębności kulturalnych poszczególnych krajów. Nadto, ostatnio, ze wspólnoty gospodarczo - politycznej panamerykanizm usiłuje rozprzestrzenić się także i na dziedzinę kulturalną.

W miarę jak kraje Ameryki Środkowej i Południowej, do swego rozwoju gospodarczego, coraz bardziej odczuwają konieczność pomocy i współpracy Stanów Zjednoczonych,

ich udział w panamerykanizmie staje się żywszy i chętniejszy, i dzisiaj w ruchu tym biorą udział oficjalnie wszystkie kraje Ameryki, choć nie wszystkie w jednakowym stopniu.

Panamerykanizm jest ruchem stosunkowo już starym i wyraża się w szeregu instytucji. Jedną z najpierwszych i najpoważniejszych jest Unia Międzynarodowa Republik Amerykańskich (zwykle krótko zwana Unią Panamerykańską), założona w czasie pierwszej „konferencji międzynarodowej amerykańskiej" w Waszyngtonie, w r. 1890. Waszyngton jest też stałą siedzibą unii. Unia jest organizacją rozwijającą bardzo żywą i sprężystą działalność poprzez wiele instytucji gospodarczych, finansowych i politycznych, a ostatnio także i kulturalnych. Obecnie, w Unii Panamerykańskiej zarysowują się głównie dwa prądy (podobnie zresztą jak i w młodziutkiej Wspólnocie Atlantyckiej). Jeden, starszy, reprezentujący tradycyjne dążności niektórych sfer politycznych Stanów Zjednoczonych, a przejawiający się w dążności traktowania unii jako jednego z narzędzi ekspansji Stanów Zjednoczonych na Amerykę Środkową i Południową. Drugi, reprezentowany nie tylko przez kraje Ameryki Środkowej i Południowej, lecz także i przez poważne ośrodki polityczne Stanów Zjednoczonych, pragnie z unii wytworzyć faktyczną wspólnotę krajów kontynentu amerykańskiego, wspólnotę, w której każdy kraj brałby udział na prawach równości. Oczywiście, że rządy poszczególnych państw amerykańskich mają wobec panamerykanizmu własne polityki; wydaje się, że polityka prezydenta Perona jest najbardziej oryginalna.

Drugim prądem całkującym kontynent Ameryki Łacińskiej jest hispanidad. Jest to prąd prawie wyłącznie kulturalny, ale coraz silniej zaczyna wpływać także i na życie polityczne tych państw. Niewątpliwie jest to prąd o wiele głębszy, niż panamerykanizm. Pragnie on wskrzesić w świadomości narodów południowoamerykańskich ich pochodzenie hiszpańskie, ale nie w sensie rasowym czy narodowym, lecz przede wszystkim w sensie kulturalnym, duchowym i religijnym. Pomimo bowiem wszystkiego dobrego co można by powiedzieć o kulturze narodów południowo-amerykańskich, kultura ta jest jeszcze dość prymitywna (w porównaniu ze starą kulturą europejską). Stąd też umysły głębsze nie zadowalają się bogatą i oryginalną, lecz płytką i powierzchowną kulturą swych krajów i szukają oparcia życia duchowego o starą kulturę europejską, sięgając przede wszystkim do tych ośrodków, z których przed kilku stuleciami wyszli. Nawracają więc do Hiszpanii. Hiszpańska twórczość kulturalna, stara hiszpańska kultura duchowa jest centrem, ku któremu grawitują kultury południowo-amerykańskie, szukając głębszej tradycji. I nic dziwnego, wszak ogromny procent górnej warstwy narodów południowo - amerykańskich jest pochodzenia hiszpańskiego. Ludzie ci instynktownie tęsknią za kulturą swych przodków i mają wstręt do — ich zdaniem — prostackiej, płytkiej, powierzchownej, dziecinnej i materialistycznej kultury Stanów Zjednoczonych, symbolizującej się w dobrobycie. A im nahalniej narzuca się im standaryzowana, techniczna, komfortowa kultura jankesów, tym żywiołowiej zwracają się ku swej **Madre Patria**, z której — jak dawniej, tak i dziś—nie płynie ku nim dobrobyt materialny, ale za to idzie głęboka, mistyczna, do dna duszy sięgająca strawa duchowa. Ze Stanów Zjednoczonych płyną najnowsze typy maszyn i najostatniejsze zdobycze techniki i nauki, ale z Hiszpanii sprowadza się tomiki przecudnych poezji, głębokie traktaty filozoficzne, arcydzieła sztuki i muzyki. Nadto, Hiszpania stanowi pomost między Ameryką Łacińską a kulturą całej Europy. To poprzez Hiszpanię — dociera do Ameryki Południowej twórczość duchowa tej Europy, która dla Ibero-Amerykanina jest zawsze krainą pełną uroku i czaru.

Hispanidad — jako prąd całkujący — usiłuje nadać jeden ton, jeden charakter kulturalny i duchowy wszystkim młodym narodom Ameryki Południowej i Środkowej, wytworzyć jedną wspólnotę cywilizacyjną tych narodów, stać się duszą ich kultury, jej treścią ideową. Nawiązywanie do starej kultury hiszpańskiej jest nawiązywaniem do tradycji europejskich, łacińskich i chrześcijańskich, czyli do katolicyzmu łacińskiego. Stąd konflikt z panamerykanizmem. Panamerykanizm zewnętrznie symbolizują banki, spółki akcyjne, potężne firmy handlowe i przemysłowe oraz instytucje i układy polityczne, a w dziedzinie duchowo-kulturalnej wyraża się on w Rotary-Clubach, często w lożach masońskich, w organizacjach naukowych i dobroczynno-kulturalnych bądź to całkiem laickich, bądź to o duchu protestanckim. Na tym odcinku przeciwstawia się mu hispanidad przez swe skromne i ubogie pod względem materialnym i organizacyjnym, ale potężne i bogate pod względem duchowym instytucje naukowo - kulturalno - religijne, bojowo katolickie. A trzeba pamiętać, że katolicyzm, który korzeniami swymi sięga do Hiszpanii, ma zawsze w sobie coś z dumy, z mistyki i z fanatyzmu.

W hispanidad można dzisiaj wyróżnić trzy kierunki, czy raczej trzy „stopnie", które nazwałbym hiszpańskim, ibero - amerykańskim i łacińskim. Stopień najniższy, hiszpański, czyli „program minimalny" hispanidad — to dążność do wytworzenia jak najżywszej spójni między życiem kulturalnym narodów amerykańskich mówiących językiem hiszpańskim, a Hiszpanią; wzajemna wymiana kulturalna tych krajów; stworzenie jednej rodziny duchowej. Stopień wyższy to ibero-amerykanizm, który to dążenie kierunku „hiszpańskiego" usiłuje rozciągnąć na wszystkie kraje Ameryki Południowej, a więc także i na mówiące językiem portugalskim oraz na Półwysep Iberyjski. Nie chodzi tu już tyle o akcentowanie pierwiastków hiszpańskich, co iberyjskich. W płaszczyźnie politycznej wyraża się to w dążności do wytworzenia bliższej współpracy kulturalnej, gospodarczej i politycznej całej Ameryki Łacińskiej z Półwyspem Iberyjskim, ściślej mówiąc, z Blokiem Iberyjskim. Wreszcie, kierunek maksymalny stanowi prąd „łaciński". Ma on największe ambicje. Jego dążeniem jest rozwój cywilizacji łacińskiej w Ameryce Południowej oraz wytworzenie wspólnoty cywilizacyjnej między Ameryką Łacińską i Europą. Włącza ona więc w ten prąd całkujący wszystkie kraje Ameryki Południowej i Środkowej oraz wszystkie kraje europejskie żyjące cywilizacją łacińską, a przede wszystkim, obok Hiszpanii i Portugalii, Francję, Włochy, katolicką część Niemiec. Ma to raczej charakter nieświadomej, instynktownej i spontanicznej mobilizacji sił duchowych świata katolicko-łacińskiego w akcie samoobrony przed zagrażającą hegemonią protestantyzmu anglosaskiego. Z punktu widzenia socjologicznego najbardziej doniosła różnica między panamerykanizmem i hispanidad polega na tym, że panamerykanizm jest ruchem całkującym zorganizowanym i kierowanym, podczas gdy hispanidad jest ruchem wyłącznie spontanicznym, za którym nie stoi żadna organizacja, żaden ośrodek kierowniczy. Przeciwnie, trzeba stwierdzić, że żaden rząd zainteresowanych krajów nie angażuje się w hispanidad, nie popiera też tego prądu żadna partia polityczna, ani też żadna instytucja. Hierarchia kościelna również zachowuje pełną rezerwę. Jest to potężny, żywiołowy proces socjologiczny, który dotychczas nie przyjął żadnej formy organizacyjnej. Można by go też nazwać reakcją psychologiczną narodów ibero-amerykańskich przeciwko panamerykanizmowi.

Wreszcie jeszcze jeden szczegół nie bez znaczenia. Jaka jest postawa ludzi objętych prądem hispanidad wobec dzisiejszego konfliktu świata demokracji ze światem komunistycznym? Można by o tym wiele napisać, ale zwróćmy tutaj uwagę tylko na jedno. Konflikt ten, w oczach Ibero-Amerykanina, ma rozmaite oblicza, ale przede wszystkim dwa obchodzące go najżywiej, a mianowicie ścieranie się sił komunizmu z siłami kapitalizmu oraz imperializmu sowieckiego z imperializmem północno-amerykańskim. Nie dyskutujmy tutaj słuszności czy też niesłuszności takiej oceny tego konfliktu, natomiast zwróćmy uwagę na wnioski jakie stąd wyciąga Ibero-Amerykanin. Powiada on mianowicie, że w obu wypadkach sympatia jego nie stoi po żadnej z zainteresowanych stron, gdyż jest mu wstrętny zarówno komunizm jak i kapitalizm, jako dwie krańcowości tego samego materializmu gospodarczego; jest mu też wstrętny zarówno barbarzyński imperializm rosyjski (z którym po-

średnio zetknął się w czasie wojny domowej w Hiszpanii i z którego mackami, tj. partiami komunistycznymi, styka się stale we wszystkich krajach), jak też i imperializm północnoamerykański. Co więcej, zatroskany o przyszłość cywilizacyjną świata, Ibero-Amerykanin szczerze szuka nowych dróg i marzy o wytworzeniu nowych form życia gospodarczego, które nie byłyby ani komunizmem, ani kapitalizmem, bo nie byłyby zarażone materializmem i w wytworzeniu tego nowego typu gospodarki (która stałaby się fundamentem nowego typu cywilizacji) widzi swoje posłannictwo.

Jeśli od tej strony spojrzeć na konflikt panamerykanizmu z hispanidad to wiele wydarzeń politycznych, zarówno na drugiej półkuli jak i w Europie, nabiera innego znaczenia, a również i „sprawa Hiszpanii" przedstawia się w innym świetle.

CENTRUM EUROPEJSKIE CZY CENTRUM ATLANTYCKIE

Paryż, w czerwcu

Od dawna było wiadomo, a Harriman i Hoffman dosadnie to swym klientom europejskim tłumaczyli, że Stany Zjednoczone nie są zadowolone z braku wszelkich postępów w dziedzinie gospodarczego jednoczenia Europy. Założeniem planu Marshalla było bowiem równoległe działanie pomocy materialnej USA i stopniowego znoszenia rozlicznych ograniczeń wymiany wśród państw z tej pomocy korzystających.

Tymczasem prócz tandetnego słowa Benelux, wybranego przez Belgów, Holendrów i Luksemburczyków chyba dla zatuszowania braku wszelkiej treści, prócz gołosłownego hasła unii celnej włosko-francuskiej, Amerykanie nie doczekali się dotąd właściwie niczego konkretnego, mimo iż ani rad ani nacisków nie szczędzili. Po trzech latach pompowania miliardów dolarów w Europę zachodnią, z Wielką Brytanią na czele, stwierdzić musieli, że tzw. antlantycką Europę zespalają jedynie wspólne zagrożenie i wspólny opiekun. Nic nie wskazuje, by tego przedtem nie wiedzieli, wszystko zaś, że spodziewali się doczekać czegoś więcej. W tej sytuacji wystąpienie Schumana z planem „poolu" węgla i stali Francji i Niemiec, od dawna usilnie zalecanym przez Harrimana, przyniosło niespodziewanie rychłe skutki, choć do jego realizacji jest — co najmniej — bardzo jeszcze daleko.

Nie należy zapewne dawać wiary aluzjom, że chodziło w tym wypadku o przemyślany nacisk psychologiczny, który, jak to istotnie miało miejsce, zmusiłby partnerów europejskich do zajęcia wreszcie stanowiska za czy przeciw akcji zjednoczenia, w każdym jednak razie wymuszono deklaracje, które ciążyć będą obecnie na polityce zachodnio-europejskiej. Wyłożono karty na stół! Nie będzie już można szermować bezkarnie w Strassburgu wielkimi słowami, nie będzie już tanich efektów krasomówczych na temat zjednoczenia kadłuba europejskiego!

Francja i Niemcy zachodnie najbardziej są zainteresowane w tej sprawie. Francję, podminowaną komunizmem, poniżoną klęską 1940 roku, przeraża perspektywa jakiejkolwiek mobilizacji. Ponadto utwierdzona w poczuciu niższości wobec Niemiec, jedynie w ich integracji w zespół europejski widzi zabezpieczenie się przed śmiertelnym sam na sam z nimi i najchętniej zapłaci zrzeczeniem się części suwerenności za ograniczenie swobody wschodniego sąsiada w możności decyzji o wojnie i pokoju. Niemcy nie mogą obecnie marzyć o rewanżu. Przepołowione, otoczone powszechną nieufnością, wegetują zaledwie w oparciu o Zachód, ściśle biorąc o opiekuna i protektora tego Zachodu jakim są USA.

Włochy znajdują się w podobnym kryzysie wewnętrznym jak Francja. Nie zagrożone jednak bezpośrednio przez Niemcy i uzyskawszy przez zmianę nastawienia Jugosławii niespodziewane podparcie, zachowały większą swobodę ruchów. Wyspiarskie położenie i międzykontynentalne powiązania skłaniały zawsze Anglików, których ambicji i energii ani wojna ani jej następstwa nie uszczupliły, do manifestowania uprzywilejowanej odrębności. W antlantyckiej koncepcji znaleźli od razu szerokie pole licytowania swego upadającego znaczenia zarówno wobec zbyt, na ich gust, bliskiej Europy jak zbyt, na ich chęci, odległej Ameryki.

W tych warunkach dążenie amerykańskie do wykrzesania maksimum sił z zachodniej Europy (decydującego odcinka zimnej wojny z Sowietami) znaleźć musiało we Francji i Niemczech, jako najbardziej bezradnych i zagrożonych, najżywszy oddźwięk. W miarę postępów stabilizacji gospodarczej oraz pogłębiania się wiary w trwałość zainteresowań amerykańskich Europą, budzić się poczęło we Francji niezadowolenie z mentorskiej roli jaką Wielka Brytania odgrywa na kontynencie. Niezadowolenie to przybrało konkretne formy w chwili, gdy polityka angielska, wszędzie na kontynencie obecna, hamować poczęła wyraźnie wysiłki scaleniowe, których wyrazem jest Strassburg. Ścisłe powiązania wojskowe i polityczne (pakty brukselski i atlantycki) krępowały inicjatywę francuską w tych dziedzinach. Pozostawała jednak cała domena gospodarcza, przedmiot szczególnych nacisków Waszyngtonu, nie mogącego ani zrozumieć ani pogodzić się z bezmyślnym kaleczeniem dochodu narodowego Europejczyków i Amerykan (miliardy Marshalla!) na kolczastych barierach celnych, dewizowych i innych, od których roi się Europa.

Pozostawmy na boku pytanie w jakim stopniu autor planu p. Monnet uległ wpływom perswazji amerykańskiej a w jakim... realizacji sowieckich. Planowanie Moskwy objęło przecie już dawno całość gospodarki wschodniej Europy i „poole" nie tylko węgla i stali ale i wszystkich ważniejszych gałęzi produkcji państw tzw. satelickich zmierzają w ramach kilkoletnich planów do podporządkowania interesów poszczególnych krajów wschodnio - europejskich imperialnej strategii Moskwy. Rewolucyjność planu Schumana nie polega więc na jego gospodarczym aspekcie

(bo w tej dziedzinie pierwsze kroki przed wojną już były robione) ale na perspektywach politycznych.

Francuzi oświadczyli jasno i wyraźnie, że gotowi są zrzec się części suwerenności w dziedzinie decydującej dla potecjału wojskowego pod warunkiem, że uczynią to samo Niemcy i wszyscy ewentualni partnerzy układu. Nacisk położony jest na ponadpaństwową kontrolę przemysłów kluczowych, przy czym Schuman uważał za wskazane dać wyraz nadziei, która niewątpliwie pokrywa się tu z pobudką działania, że układ taki wyłączyłby automatycznie możliwość wojny między Niemcami a Francją. Równie pewni, że Niemcom ochota do wojny przyjść może jak tego, że sami nigdy jej nie zapragną, Francuzi z całą gotowością wyrzekają się swobody decydowania o niej.

Nie trzeba być prorokiem (piszemy te słowa przed otwarciem konferencji sześciu państw w dniu 20 czerwca), by mieć pewność, że Francuzi zaczną negocjacje w sprawie „poolu" od ustalenia kompetencji dyrekcji kontrolnej, a potem dopiero dopuszczą ekspertów do wypracowania jego zasad.

Wskazuje na to wyraźnie konflikt z Wielką Brytanią. Podczas gdy Niemcy, Włochy, Belgia, Holandia i Luksemburg akceptowały od początku polityczne przesłanki planu, to Wielka Brytania z ich właśnie powodu nie uznała za możliwe brać w konferencji udziału. Już ta odmowa (choć Schuman zrobił wszystko, by ograniczyć jej tło do spraw proceduralnych) wywołała szereg komentarzy krytycznych pod adresem solidarności Londynu z obszarem, którego bezpieczeństwo, a więc i problemy, dzieli. Nie tylko w Paryżu, Brukseli i Hadze ale i w Rzymie skrytykowano egoizm i separatystyczne tendencje Anglików, lekceważących życiowe interesy Europy. Okazało się przy tym, a nie jest to fakt bez większego znaczenia, że ocena problematyki europejskiej inna jest nie tylko u rządów z tej i tamtej strony Kanału ale i wewnątrz międzynarodowego ruchu socjalistycznego. Przywódca socjalizmu belgijskiego a zarazem szermierz zjednoczenia europejskiego, Spaak określił inicjatywę francuską jako wydarzenie historyczne i orzekł, że „najbliższa przyszłość ujawni czy raz jeszcze znaleźliśmy się wobec mądrej i szlachetnej inicjatywy, którą egoizm i tchórzliwość ludzi powalą czy też, tym razem, odwaga w realizacji znajdzie się na poziomie powstałych nadziei" (wywiad w „Le Monde" z 6 ub. m.). Opinie tego wybitnego polityka-socjalisty podzieliła konferencja „Comisco" w Kopenhadze, dyskutując w dniu 2 czerwca stosunek socjalizmu europejskiego do planu francuskiego. Denis Heaby w imieniu Wielkiej Brytanii popierał równie zdecydowanie idee Schumana jak Grumbach w imieniu Francji, Nederhorst Holandii a Moe Norwegii.

Minister spraw zagranicznych Włoch, Sforza w wywiadzie udzielonym AFP 4 ub.m. uważał za konieczne położyć kropkę nad i, mówiąc „jest to (plan Schumana) konieczne dla przyszłych stosunków Francji i Włoch z odradzającymi się Niemcami"

Wygląda więc na to, że sama decyzja Schumana podjęcia takiej próby i konsekwentnego przy niej trwania, zapewniła Francji (co kilka miesięcy temu jeszcze wydawało się niemożliwe) kierownictwo polityczne na kontynencie. Spoczywa ono co prawda na dość kruchych podstawach ale w Londynie i Waszyngtonie, jak to zauważył nowojorski publicysta J. Alsop, z pewnym zażenowaniem stwierdzono, że zbyt wcześnie „odpisano" Francję z rachunku i niedoceniono jej konsolidacji i możliwości.

Gdy zaś, na dobitek, angielscy laburzyści zaangażowali publicznie komitet wykonawczy rządzącej partii przez deklarację tez programowych, w której izolacjonizm brytyjski podaje rękę socjalistycznemu doktrynerstwu, inicjatywa Schumana nabrała życia i barw przypominających najlepsze czasy prestiżu Paryża z okresu Brianda i Stresemanna. Opinia amerykańska wzięła z naciskiem w obronę tezy francuskie i nie szczędzi słów karcących „niewytłumaczalny egoizm brytyjski", natomiast czynniki decydujące Waszyngtonu zachowały zimniejszą krew. Wiedzą tam więcej o tym, komu naprawdę bliżsi się czują Australijczycy i Nowozelandczycy, a także Kanadyjczycy i inni członkowie Commonwealthu, mają też mniej sentymentalny stosunek do odległości niż Dalton i bardziej wierzą mapom niż deklaracjom socjalistycznym. Z tych wszystkich powodów szukają i szukać będą innych głębszych powodów takich oświadczeń jak np. „Timesa" z 16 ub.m. Napisano tam: „Wielka Brytania z praktycznych powodów związanych ze stanowiskiem tego kraju w świecie, nigdy nie miała zamiaru popierać federacji europejskiej lub pełnego zjednoczenia Europy". Dodano, że „jedynie niewielka liczba przeważnie opozycyjnych polityków" dawała w tym kierunku wyraz entuzjazmowi nieodpowiadającemu poglądom angielskim. Słowa takie nie tylko rzucają cień na szczerość intencji delegacji brytyjskich w rozlicznych byłych i przyszłych rokowaniach na kontynencie, ale dają wyraźnie do zrozumienia, że Anglików konsolidacja Europy obecnie nie interesuje. Ponieważ szaleńcy w guście Hitlera, ludzie à la Peron czy doktrynerzy typu Brianda nie dochodzą do władzy w Wielkiej Brytanii, rząd londyński musiał mieć racjonalne powody wyjawienia tak opryskliwych prawd.

W Londynie zdają sobie, być może, sprawę z nietrwałości podstaw zarówno zbliżenia francusko-niemieckiego jak i całej imprezy sztrasburskiej. Uważając podział Europy za przejściowy, rozumieją, że rola, a więc i polityka, niemiecka nie nadaje się w tej chwili do uchwycenia, że zatem tendenje Adenauera nie są dla Niemiec wiążące. Nie wiadomo jaki będzie stosunek zjednoczonych Niemiec do organizacji europejskiej w ogóle, Francji w szczególności. Bez Niemiec zaś i tych państw, których wynurzenie spod czerwonej fali towarzyszyć będzie ewentualnemu zjednoczeniu Niemiec, mówić o zjednoczeniu Europy a tym bardziej angażować się w nie, nie warto. Warto natomiast i trzeba rozbudowywać siły moralne i materialne bloku atlantyckiego. W tym przedmiocie spore zaniepokojenie w Londynie (a chwilowe też w Waszyngtonie) wywołały niektóre komentarze towarzyszące ogłoszeniu planu Schumana, z których mogło wynikać, iż w pewnych kołach Paryża i Bonn spekuluje się na uniezależnienie tą drogą od wpływów amerykańskich i stworzenie dzięki temu perspektywy wyślizgnięcia się z potrzasku konfliktu Wschód-Zachód. Takie naiwne złudzenia podtrzymywane w sferach gospodarczych Niemiec i Francji nadziejami na ekspansję „poolu" ekonomicznego francusko-niemieckiego w kierunku afrykańskim i stworzenie w ten sposób własnej „przystani życiowej", niezależnej od ingerencji anglosaskiej a chronionej zdolnością konkurencyjną połączonych produkcji zachodnio-europejskich, mogły zaniepokoić Anglików. Miałyby one, a raczej mieć by mogły, fatalne skutki moralne i materialne dla zespołu atlantyckiego. Otóż Anglicy uważają ten zespół za jedyną rzeczywistość odpowiadającą potrzebom chwili a rolę Niemiec jako przedpola atlantyckiego za najbardziej odpowiadającą interesom brytyjskim. Nie mają nic przeciw sztrasburskiej „gadalni", jak długo rządy europejskie zachowują pełną kontrolę decyzji, ale obawiają się wpływów niemieckich na gospodarkę i politykę francuską w razie gdyby decyzje w sprawach tak zasadniczych dla obronności kontynentu jak produkcja węglowo-stalowa (a już mówi się i o innych działach!) miała wpaść w ręce ponadnarodowego za-

rządu. Zaufanie do obronności Europy zachodniej przed atakiem sowieckim jest tak niewielkie, że pokusy usunięcia się na bok, a tym samym wystawienia Wielkiej Brytanii na sztych, są zdaniem nie mających zaufania do bojowości francuskiej Anglików zbyt duże. Zwłaszcza po ostatniej konferencji państw atlantyckich, Anglicy, zadowoleni z jej wyników, nie pragną ryzykować włączania się jakiejś nowej, niepewnej imprezy, w obracające się coraz regularniej koła organizacji obronnej paktu atlantyckiego. Powiedzieli to może niezręcznie i nieco brutalnie, ale powiedzieli jasno i wyraźnie. Wolą planowanie waszyngtońskie, nawet centrum waszyngtońskie od planowania europejskiego i centrum europejskiego.

Z polskiego punktu widzenia temu sposobowi patrzenia nic zarzucić nie można. Organizacja europejska z dobrze usadzonymi Niemcami ale bez nas nie może nas zachęcać.

Gdyby gospodarcze scalanie Europy miało na celu jedynie natychmiastową gotowość zbrojną, byłoby korzystne. Nic nie wskazuje jednak, by realizacja daleko idących planów „poolowych" mogła w krytycznym okresie, w jakim żyjemy, przynieść wiele więcej niż zamieszanie. Chodzi zaś wspólnocie atlantyckiej, z którą los naszej niepodległości jest związany, właśnie o sprężystość decyzji i działania.

Dynamiczni Amerykanie zbyt pospiesznie dali się urzec złudą wielkiego „poolu" odpowiadającą cyfrowemu wizjonerstwu tego narodu. Anglicy, a raczej kilku Anglików, popełnili „gaffę". Ale to wszystko, co dotąd się stało, jest zaledwie początkiem. Teraz przyjdą konferencje, narady, zjazdy. Odsłonią one bez wątpienia Amerykanom szereg prawd materialnych tyczących bezpieczeństwa półkuli zachodniej i jej gotowości obronnej. Odsłonią też szereg niebezpieczeństw grożących tej gotowości zarówno ze strony wrogich intryg jak i wewnętrznych nieporozumień.

Miejmy nadzieję, że rezultatem tych niełatwych dyskusji, będzie usprawnienie wspólnoty atlantyckiej.

Z.A.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

POBYT DOBRZE WYKORZYSTANY

Walter Bedell Smith: MOSCOW MISSION 1946 — 1949. William Heinemann Ltd. Londyn, 1950. Stron 337.

Jak wiadomo, generał W. Bedell Smith był do niedawna ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Moskwie. Wyjątki z obecnie ogłoszonej książki drukowane były w pismach amerykańskich, francuskich i angielskich („Daily Telegraph").

Tytuł książki Smitha przypomina niesławnej pamięci „Mission to Moscow" Josepha Davisa, ambasadora USA w Moskwie w okresie największego flirtu amerykańsko - sowieckiego. Ale jakżeż inna jest treść obydwu książek! Każda z nich jest produktem innej atmosfery politycznej. Sielanka przerodziła się we wrogość i niechęć, zresztą nie z winy Stanów Zjednoczonych, lecz z powodu agresywnej i niesumiennej polityki Związku Sowieckiego, zmierzającej do panowania nad światem.

Autor książki nie jest politykiem ani dyplomatą zawodowym. W sposób dosyć nieoczekiwany został powołany na placówkę moskiewską. Książka jego nie oznacza się zatem finezją i subtelnością argumentacji, zawiera jednak wiele zdrowych sądów. Gen. Bedell Smith całkowicie aprobuje opinię Paula Wintertona, że obserwatorzy zagraniczni życia rosyjskiego odznaczają się tylko różnym stopniem ignorancji. Jakkolwiek więc i autor nie poznał całej prawdy o Rosji Sowieckiej i dlatego sądy swe formułuje ostrożnie, jednak spostrzegawczość jego i zdrowy rozsądek, który przebija z kart książki, budzą zaufanie.

Książka gen. Bedella Smitha nie jest rewelacyjna, jednak dobrze, jak się nam wydaje, odtwarza zasadniczą postawę oficjalnej polityki amerykańskiej wobec Rosji. Jest to polityka, nie oddająca się już złudzeniom, jak za czasów Roosevelta, polityka pragnąca pokojowego ułożenia się z Rosją, ale sprzeciwiająca się dalszej ekspansji rosyjskiej.

Zdaje się wyraźnie wynikać z tenoru książki, że Stany Zjednoczone nie zrobią pierwszego kroku do rozprawy zbrojnej z Rosją, do rozprawy, która według doktryn panujących na Kremlu, jest nieunikniona. Pogląd Lenina bowiem, że współistnienie państwa komunistycznego, jakim jest Związek Sowiecki, ze światem państw kapitalistycznych jest niemożliwe, ciągle jeszcze obowiązuje w doktrynie oficjalnej w Moskwie.

„Polityka sowiecka zawsze zmierzała ku ostatecznemu celowi — rewolucji światowej i komunistycznemu panowaniu nad światem. Taka jest ciągle jeszcze polityka Kremla i, o ile można przewidzieć, pozostanie nią i w przyszłości" — pisze autor na stronie 300. Jednak jest on przekonany, że Związek Sowiecki nie zdecyduje się na wyraźny akt agresji w najbliższej przyszłości, o ile państwa zachodnie nie zachwieją się w swej determinacji przeciwstawienia się ekspansji sowieckiej. Wydaje się mu, że polityka wewnętrzna i zewnętrzna Moskwy oparta jest na supozycji, iż przez szereg lat trwać będzie pokój.

Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że od samego początku istnienia Związku Sowieckiego trwa tam fundamentalna wrogość wobec demokracji zachodniej, wobec kapitalizmu, liberalizmu, socjalnej demokracji i innych grup i elementów, które się całkowicie nie podporządkowały Kremlowi.

Logiczny stąd wypływa wniosek, że pokój ten to raczej rozejm, niż pokój.

Autor sądzi, że wojna może byłaby już wybuchła, gdyby nie fakt, że Stany Zjednoczone są jeszcze silniejsze od Rosji i pozostaną silniejsze przez co najmniej 5 — 10 lat, że następnie pozycja Rosji w obszarach bezpośredniego i pośredniego (państwa satelickie) panowania nie jest jeszcze dostatecznie skonsolidowana politycznie (przykład Jugosławii jest tu znamienny), że wreszcie nie zjawiło się jeszcze wielkie załamanie gospodarcze w Ameryce i w ogóle na Zachodzie, na które liczą na Kremlu. Rosja się więc ociąga.

Gen. Bedell Smith ostrzega przed iluzją, że Stalin pragnie pokoju z Zachodem wbrew tendencjom innych członków Politbiura. Nie ma, zdaniem jego, żadnych rozbieżności między Stalinem a resztą rządców kremlińskich. Członkowie Politbiura są wszyscy „ludźmi Stalina". Stwierdza on też stanowczo, że „agresywna i ekspansjonistyczna polityka zagraniczna Związku Sowieckiego w okresie powojennym była polityką Stalina. Nie mogła ona być w obecnym systemie być wprowadzona w czyn i kontynuowana bez sankcji Stalina i jego aprobaty" (str. 44).

Autor nie pokłada nadziei w siłach wewnętrznych Rosji, które byłyby zdolne obalić reżim i zapewnić ludności wolność polityczną i osobistą w tym znaczeniu, jak to się rozumie na Zachodzie. Ludzie, którzy do tego dążyli, nie żyją już, albo są w więzieniach lub na wygnaniu. Propaganda zrobiła swoje. Ludność sowiecka nie ma pojęcia o istotnych warunkach życia na Zachodzie, od którego jest hermetycznie izolowana.

Literaturze sowietoznawczej przybyła w książce gen. Bedella Smitha pozycja poważna.

(m. ost.)

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

TPP SZKOLNICTWU

Z końcem maja centrala Towarzystwa Pomocy Polakom w Londynie wysłała następujące transporty polskich podręczników szkolnych i książek: do Francji 12 skrzyń, zawierających 5.441 tomów, do Niemiec 2 skrzynie zawierające 1.023 tomy, do Hiszpanii 1 skrzynię zawierającą 219 tomów. Razem 15 skrzyń zawierających 6.683 książek.

Szczególnie cenny jest transport podręczników szkolnych do Francji, gdzie potrzeby szkolnictwa polskiego są bardzo wielkie. Olbrzymią większość wysłanych podręczników stanowią opracowania z zakresu literatury polskiej i podręczniki historii Polski.

Podręczniki skierowane do Hiszpanii będą wykorzystane w istniejącej tam szkole polskiej w Barcelonie.

LISTY DO REDAKCJI

(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy)

TAKIE METODY JACY LUDZIE

Szanowny Panie Redaktorze,

W Polskim Osiedlu Mieszkaniowym Petworth, którego jestem mieszkańcem, w związku z dobrowolną daniną na Skarb Narodowy odbywa się zajadła kampania, aby daninę tę zmienić w przymusową.

Przewodniczący Rady Gminnej, prezes Zarządu Gminnego i wójt Gminy, p. Henryk Jasieński w przemówieniu swoim napuszonym górnolotnymi frazesami powiedział: „Aby dać należytą odprawę partyjnikom i jątrzycielom każdy obywatel Rzeczypospolitej Polskiej powinien wspierać Skarb Narodowy".

Czyżby to miał być właściwy cel Skarbu Narodowego i któż tu jest jątrzycielem?!

Jeszcze lepiej popisał się prezes Koła SPK Nr 115, p. Tadeusz Bednarski mówiąc, że wszyscy ci, którzy nie poprą Skarbu Narodowego będą uważani za komunistów, a on sam jest głęboko o tym przeświadczony.

Przecież to jest ohydny szantaż! I w tej atmosferze mamy żyć, jednoczyć się i pracować dla Polski. Wypowiedzi tych osobników świadczą o ich mentalności, która w iście komunistyczno-propagandowy sposób ubliżający i zniesławiający swych urojonych przeciwników dyskredytuje w oczach społeczności, aby dojść do wytkniętego celu.

Więcej chyba komentarzy nie potrzeba.

Zechce Pan Redaktor itd.

S. E. KRAJEWSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. S. S-i. Redakcja przyjmuje artykuły niezamówione, zastrzegając sobie prawo ewentualnych skrótów i przeróbek. Jakie? — zgodne z ogólną treścią pisma.

NA MARGINESIE

DEFINICJA TOWARZYSZA APRO

Generalny sekretarz węgierskich związków zawodowych, Apro, wygłosił przemówienie poświęcone prowadzonej na Węgrzech, podobnie jak i w Polsce, walce z tzw. bumelanctwem. Nawymyślawszy robotnikom od leniów a lekarzom od oszustów, stwierdził on:

„Przywódcy związków zawodowych często uważają, że ich obowiązkiem jest reprezentowanie interesów robotników wobec partii. W rzeczywistości ma być odwrotnie: związki zawodowe mają reprezentować interesy partii wobec robotników".

Trudno o bardziej zwięzły i jaśniejszy przykład różnicy między położeniem robotnika na „kapitalistycznym" Zachodzie a na „socjalistycznym" Wschodzie. Może nawet warto nauczyć się słów owego Apro na pamięć.

OD ADMINISTRACJI

Z dniem 1 maja br. przedstawicielem „Myśli Polskiej" na Belgię został p. M. Cybulski, hôtel de Boeck's, 40, rue Veydt, Bruxelles. Wysokość prenumeraty w Belgii wynosi 21 fr. miesięcznie, 60 fr. kwartalnie i 120 fr. półrocznie. Prenumeratę należy wpłacać na ręce p. Cybulskiego, konto czekowe CCP 2889.86.

„MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata półroczna 18 sh lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol.

Printed for „Myśl Polska" by „Veritas Foundation Press", 12, Praed Mews, London, W.2. Tel. PAD 9734.